13. NUMER. CZERWIEC 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Karta z niedawnej przeszłości.

Przed kilku laty ukazał się w Wilnie pierwszy tom wydawnictwa, zatytułowanego jako Zbiór dokumentów muzeum hrabiego Murawiewa. Jest to księga poważnych rozmiarów, zawierająca materjał rządowy i polityczny, odnoszący się do wypadków, które bezpośrednio poprzedzają wybuch powstania na Litwie 1863 roku. Rzecz sama przez się ciekawa i jako obraz kraju, nie w chwili akcji, lecz przygotującego akcję i ze względu na materjał historyczny i wreszcie jako punkt obserwacyjny z obozu przeciwnika. Tekst ściśle urzędowy poprzedza obszerny szkic historyczny, piórem samego redaktora, A. Bieleckiego, kreślony. Zawiera przebieg lat 1856—1861. Są to czasy generał-gubernatorstwa Nazimowa, który na to stanowisko powołany został bezpośrednio po obaleniu procesu politycznego, ogarniającego mnóstwo osób jako spisek szeroko rozgałęziony. Nazimow, w charakterze prezesa śledczej komisji, udowodnił nieistnienie podobnego spisku. Oczywiście osobistość nowego generał-gubernatora po takiem wystąpieniu sympatyczną Polakom być musiała i sympatja ta, w pierwszych latach zwłaszcza, znajduje swe usprawiedliwienie. Kiedy w 1856 r. car Aleksander II., noszący się wówczas z myślą uwłaszczenia włościan, zwierzał się przed Nazimowem z kłopotów, jakie mu sprawiają obywatele rosyjscy, nie chcący go podtrzymać w tych zamiarach — Nazimow odpowiada, że w kraju, którym on zarządza, jest wręcz przeciwnie, obywatele bowiem na Litwie od dawna pragną emancypacji włościaństwa i jeszcze w 1818 r. czynili o to zabiegi w Petersburgu. Ten wzgląd, jak utrzymuje Bieleckij, usposobił cara przychylnie dla Litwy, właściwie pragnął car usposobić Litwinów dla swych celów życzliwie. Nastąpił szereg łask od tronu: pozwolenie na powrót wygnańców 31 r., wypełnienie konkordatu zawartego z Rzymem w 1847 r. w kwestji wznoszenia nowych kościołów lub restaurowania starych, obsadzenie wakujących katedr biskupich, podwyższenie sum kościelnych do wysokości 790.000, zwiększenie ilości szkół, dozwolenie na wykład języka polskiego i historji polskiej, mianowanie profesorów Polaków, pozwolenie na druk dzieł Mickiewicza i t. p.

Rozporządzenia te, rzecz prosta, musiały duże wywołać wrażenie na Litwie. Ożyły nadzieje; pragnienia wyprzedzały wypadki, marzenia urosły do zapoznania pewników historycznych. Projektowano szerokie, daleko idące reformy i odzyskania, przeceniając intencje monarsze. Osoba cara urosła nagle do wysokości miłościwego władcy. Krótkowzroczność dusz prostych a gorących dochodziła do objawów szczerego zachwytu. Kiedy w r. 1858 car osobiście zjechał do Wilna, spotkało go entuzjastyczne przyjęcie. Znany jest z owych czasów smutnej pamięci wiersz A. E. Odyńca, witający z uwielbieniem cara, również gorącą odezwą w Kurjerze witał cara Ign. Chodźko. Ten nietakt Litwinów musiał obudzić pewien niepokój w innych dzielnicach kraju, a zwłaszcza na wychodźtwie. Na Litwę wpłynęło mnóstwo odezw i pism, potępiających zbyt wczesne zachwyty. W samej Litwie znalazło się mnóstwo obywateli, którzy z niezadowoleniem patrzyli na rozentuzjazmowane Wilno. Bieleckij przypisuje tę niechęć zesłańcom świeżo wróconym z Sybiru, w których tradycje 31 roku żyły zapewne niezgasłe. My wszakże sądzić możemy, że nie głosy weteranów jedynie tę nieufność tworzyły. Najbliższa przyszłość wykazać miała, jak wielką słuszność mieli nieufni. A przyspieszenia rozczarowań dokonać miała jedna ręka, jedyny głos, osobistość, urosła na glebie litewskiej, obracająca się w stosunkach kraju i ciesząca się do pewnego stopnia życzliwością rodaków. Był nią ksiądz unicki, później pop prawosławny, wynagrodzony godnością metropolity, zacięty kat katolickich świątyń i kościołów — renegat Siemaszko. On to, znając społeczeństwo polskie na Litwie i wiedząc o jego aspiracjach, pospieszył z pierwszym donosem do cara, przysyłając mu swą „zapiskę“. Nie był to list osobisty, lecz raczej krótki szkic polityczny kraju. Ciekawy to zaiste dokument, tem ciekawszy i tem historycznie cenniejszy, że dzisiaj t. zw. „prawdziwi Rosjanie“ oraz czarnosecińcy mają jota w jotę ten sam pogląd w naszych sprawach i ściśle w tym samym kierunku działają,

„Polskę właściwie rozebrały dwa mocarstwa — mówi między innemi Siemaszko — Prusy i Austrja i oba uporały się już z nią oddawna, wykorzeniwszy z gruntu wszystko, co było Polską niegdyś; to, co dostało się Rosji, było jej własnością z dawien dawna, z czasów jeszcze przed-

jagiellońskich. Omyłką Aleksandra I. było utworzenie Królestwa Polskiego. Monarcha ten pragnął za pośrednictwem Królestwa zdobyć pewne wpływy na Austrję i Prusy, a stało się wręcz przeciwnie. Zachodnia Europa działała na Polskę i dość było jednego skinienia Francji, aby w 30. roku Polska chwyciła za broń przeciw Rosji. Ale nie mówmy o Królestwie Polskiem: ono naturalnym instynktem zawsze dążyć będzie do odtworzenia swego dawnego istnienia na szkodę trzech swoich sąsiadów, albo ostatecznie będzie znicestwionem — dla Rosji rzecz główna: Litwa.“ I tu autor zapiski kreśli obszerne wywody o prawowitej przynależności Litwy do Rosji, o sympatjach odwiecznych do Rosji, o powierzchownym tylko i nader słabym związku jej z Polską; „słabość ta przedewszystkiem ujawniła się w łatwym zupełnie powrocie unitów na łono prawosławnego kościoła, naprzód w liczbie trzech miljonów, a po czterdziestu latach jeszcze półtora miljona“. Polska propaganda wszakże idąca z Królestwa i duchowieństwo podtrzymują ciągle polskość na Litwie. Mikołaj I. lepiej rozumiał sytuację, gdy energiczną ręką tłumił wszelkie żywioły polskości, zgniótł odrębność i pozbawił Polaków marzeń niepotrzebnych. Tolerancja Aleksandra II. nie tylko zbudziła znowu te marzenia, nie tylko w niwecz obróciła 30-letnią robotę poprzednika, ale co gorsza usuwa zupełnie wpływy rosyjskie i urzędnictwu, obywatelstwu rosyjskiemu, całej propagandzie rosyjskiej rychły położy koniec. Tym sposobem kwestja rosyjska na Litwie staje wobec jasno określonego dylematu: albo umocnić raz na zawsze rezultaty pracy Mikołaja I, albo polskiej partji oddać w ręce kraj i młode pokolenie, doskonale już niosące służby swe dla Rosji.“ Po tem orzeczeniu wszakże roztropnie dodaje, podkreślając kursywą: „Nie należy wszakże zapominać, że to pokolenie młode w każdym razie niezbyt mocno stoi na nowej drodze i w rękach partji polskiej może stać się bardziej jeszcze niebezpiecznem z powodu szerszego i specjalniejszego wykształcenia swego.“ Zapiska wykazuje dalej punkt po punkcie, w czem się zawiera czynność polskiej partji i jej poszczególne dążenia, oraz straty, jakie z jej powodu ponosi rusyfikacja kraju i przedewszystkiem duchowieństwo prawosławne. W końcu zapewniając o czułej, chrześcijańskiej miłości dla braci Polaków, podaje w ogólnym zarysie środki do ich ostatecznego zgnębienia: przedewszystkiem nieugięty a konsekwentny i bez przerwy ucisk żelaznej ręki.

Bieleckij zapewnia, że zapiska metropolity Siemaszki wywarła silne na cara wrażenie; zmusiła innemi oczyma spojrzeć na sprawy litewskie i nie być tak hojnym w stosowaniu łask. Bardzo prędko Polacy na Litwie mieli się przekonać, na skutek zapiski lub nie, o istotnych intencjach rządu.

(C. d. n.) *Wanda Dalecka.*

Instrukcja hetmańska.

(Mały przyczynek do charakterystyki wielkiego wodza).

W roku 1616 zanosiło się na wojnę na trzech krańcach Polski, z Moskwą, Turkami i ze Szwecją. Najbardziej na Zygmunta III. rozsierdzony młodziutki król szwedzki Gustaw Adolf srogą dyszał zemstą za agitację, którą Zygmunt wszczął przeciwko niemu w samej Szwecji, wciąż jeszcze za prawowitego uważając się monarchę szwedzkiego.

Zawarłszy tedy pokój z Moskwą i Danią ruszył prosto na Inflanty, dokąd go poprowadził Wilhelm książę kurlandzki, pozbawiony swej godności wyrokiem sejmu polskiego. Za jego to wpływem Waldemar Farensbach poddał Szwedom Dynamundę, Parnawę i Salis. Równocześnie jenerał szwedzki Sternskiöld obległ Rygę, a inne grody tamtejsze w wielkiem się znalazły niebezpieczeństwie, tem bardziej, że hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł, sam mając niewielkie siły, żadnego im prawie nie mógł dać posiłku.

Rygi bronił z ramienia Jana Karola Chodkiewicza, Bartosz Ważyński. Hetman, porywczy starzec, dla którego niczem było rzucić buzdyganem za ulubieńcem królewicza nawet, o ile ten nie słuchał jego wojennych rozkazów, Chodkiewicz, który nieraz miał bardzo cierpkie słowo i dla samego królewicza Władysława umiał dobierać ludzi a przedewszystkiem umiał im rozkazywać.

To też osadziwszy Ważyńskiego na Rydze podyktował dla niego i własnoręcznie podpisał instrukcję „wedle której ma się sprawować pan Ważyński podczas takich niebezpieczeństw“.*) Instrukcja maluje dosadnie twardą a rycerską duszę hetmana. Słowa w niej krótkie, jasne i niedwuznaczne, rozkazy stanowcze, a równocześnie ton podniosły rycerski, świadom grożącego niebezpieczeństwa i obowiązków względem ojczyzny i własnych obowiązków wobec żołnierzy.

„Poleca się — czytamy w tejże instrukcji — naprzód wierze, cnocie i powinności szlacheckiej, na co on pomnąc, raczej krew swoją na tych tam zamkach sobie poleconych rozlać powinien życzyć, aniż ustraszeniem jakiem, lub to uwiedzeniem, jakimi upominkami, namowami zamek nieprzyjacielowi w ręce podać. Starać się tedy ma, w tem go cnotą i uczciwością obowiązuję, aby wszelaką pilnością i czułością według najświętszego przemożenia swego zamek ten i z miastem Jego Królewskiej mości i Rzeczypospolitej dotrzymał. A iż i sama skąpość żywności, niepłacenie piechocie i niepewna albo niegruntowna odsiecz rychło być może, upewniam pod przysięgą, pod dobrem, cnotliwem rycerskiem słowem, wszelakiej pilności i starania przyłożyć, jakobym z ludźmi Jego Królewskiej Mości jako najprędzej stawić się mógł, albo więc o pewnej odsieczy,

*) Oryginał z autografem Chodkiewicza i jego pieczęcią, w zbiorze redakcyjnym.

albo wojsku dawał znać. Zakładam tedy czas do dnia św. Małgorzaty, na który jeślibym się nie stawił, albo znać niedał, a nędza i głód ich uciskał, więc uciekanie piechoty, wyzwalam ich z obowiązku i powinności, nań włożonej, że do traktatów strony podawania przystąpić mogą. Do których środków, ażby nędzą, potęgą nieprzyjacielską, przez częste szturmy, straceniem nakoniec nadzieji w odsiecz przywiedzeni uciec się mają.

„Porządek w mieście, bojaźń Bożą przed oczyma wszystko rycerstwo mieć ma, co się szerzej artykułami obwieścić ma.

„Straż pilna i potężna na kwaterach, podług czasu i potrzeby.

„Szafować żywnością jako najskromniej.

„Buntownik, jeśliby się który pokazał ukarać bez wszelakiego miłosierdzia dla przykładu drugim."

Jan Karol Chodkiewicz mp.

Podobną instrukcję otrzymał także i Maciej Młodzianowski, bo obaj wspólnie zobowiązują się ją dotrzymać, pod pewnymi warunkami jednakże:

„Ja Bartosz Ważyński i Maciej Młodzianowski obowiązujemy się wiarą, cnotą i poczciwością swą szlachecką zamków sobie od jego królewsklej Mości powierzonych, według instrukcji nam przez Jegomości Pana Hetmana oddanej wcale do Bożego Narodzenia dotrzymać i na potem gdzieby nic tak bardzo niebezpiecznego nie było, dotąd, póki możność nasza znosić będzie, dotrzymać obiecujemy. Chybaby czego Boże uchowaj nędzy takiej przez niedostatek żywności, alboż potęgi wielkiej nieprzyjacielskiej przez częste szturmy, żeby już dalej możność i potęga nasza strzymać niemogła, natenczas wolni od obligacji naszej będąc, według tejże instrukcji zostawamy. Wymawiamy to przytem sobie, gdzieby natenczas żartkie natarcie nieprzyjacielskie było, żeby i żywności sposobić się niemogło, tedy dotrzymać dla głodu, który wszędy jest, niepowinni będziemy. Na co się z obligacją naszą z podpisem swym dajemy. Pisan na zamku Ryskim 10 Augusti 1616. *B. Ważyński* ręką swą. *Maciej Młodzianowski* ręką swą".

Jakkolwiek przy obleżeniu tem do żadnych ostateczności nie przyszło, bo Farensbach za namową Jezuitów przeszedł znowu na stronę króla polskiego a jenerał Sternskiöld odstąpił od oblężenia Rygi — to zawsze taki wzajemny kontrakt między najwyższym wodzem, a podwładnymi oficerami jest w stosunku do naszych czasów osobliwością, jest też widocznym już zarodkiem późniejszej niekarności wojskowej.

Widać w nim też, że Ważyński i Młodzianowski wytargowali u hetmana krótszy termin dotrzymania zobowiązań. Podczas gdy w rozkazie Chodkiewicza jest, że oficerowie utrzymać mają zamki do św. Małgorzaty (początek stycznia), czytamy w ich zobowiązaniu, że termin ten skrócony został do Bożego Narodzenia i to jeszcze pod warunkiem, że nie będzie zanadto „żartkich" szturmów nieprzyjacielskich, ani zbyt wielkiego głodu w oblężonej twierdzy! *J.*

STANISŁAW PIGOŃ.

Na marginesie „Legionu" St. Wyspiańskiego

O zbieżności psychicznej Wyspiańskiego do Mochnackiego, o tym poziomie podniosłości dusz, na którym ci dwaj się spotykać mogli, mówi p. A. Grzymała-Siedlecki, autor subtelnej analizy „cech i elementów twórczości" Wyspiańskiego, człowiek, który między szczyty jego dzieł nałożył wiele głębokich myśli — dociekań, poczynił wiele niespodzianych zestawień i wniosków: [1])

„Naturze Wyspiańskiego obcym był ten ton rezygnacyjny wiar tułaczych emigracji. W jego osobistem już usposobieniu gnieździła się męska affirmacja przekonań. Gdyby więc trzeba było wykazać ludzi i momenty najbliższe mu dźwiękiem duchowym, to szukać ich należy przedewszystkiem w zaraniu owej generacji romantycznej, w Mochnackim, a później w koncepcji czynu rozwijanej tak epicko w pismach i życiu Mickiewicza." W indywidualności Mochnackiego zeszło się wszystko, co mogło za serce chwytać Wyspiańskiego: 1) artysta, dla Mochnackiego hasło niepodległości ojczyzny, to nie tylko „imperatyw potityczny", to walor poetycki równie artystycznie piękny. 2) Był to duch „opętany polskością", rozumem jego była miłość ojczyzny. Obie te cechy są i u Wyspiańskiego.

Z tych wywodów przechodzi p. Siedlecki do pokazania wpływu sądów niektórych Mochnackiego w „Powstaniu narodu polskiego", na „Noc listopadową". Uwagi jego są tutaj przenikliwe i trafne. Wydaje mi się jednak, że nie można ograniczać możności żywszego kontaktu Wyspiańskiego z Mochnackim jedynie na epikę „Nocy listopadowej". Mając na oczach powyżej pokazaną faktycznie istniejącą zbieżność duchową, trudnoby przypuścić, że tylko te parę akordów „Powstania" wplotło się w mocną pieśń Wyspiańskiego. Może uwagi następne dowiodą, że n. p. w „Legionie" już można pewne rzeczy wytłumaczyć na tle idei, jakiemi żył i walczył Mochnacki.

Chodzi mianowicie o scenę 10-ą: Mickiewicz-Brutus rozcinający więzy Wolności-tyrana. Chodzi o stosunek Mickiewicza do pojęć „lud" i „Wolność" w osądzeniu Wyspiańskiego. W „Legionie" rzecz dokonywa się tak:

Mickiewicz przyszedł do Rzymu, by podjąć czyn, przyszedł w chwili, kiedy „oto ludy wstają jako lwy".

Jak lwy, jak zwierzę, jak twór krwawy,
jak ława pałącej lawy
zaryją w ciemniach kurzawy
złe miasta, złe ludowiska
i pogasną ogniska — od krwi!

Czyn to więc przez krew.

Ale w scenie z papieżem przełamuje się w duszy Mickiewicza przedsięwzięcie takiego czynu, podejmuje on „nowe rycerstwo globu",

---

[1]) A. Grz, Siediecki: Wyspiański, Kraków 1907.

walkę o Królestwo Ducha. Tu się nawiązuje węzeł tragiczny „Legionu". Mickiewicz przysięga „na ziemię polską" — „zachować dusz wniebowzięcie, niepokalanie żyć w Bogu". Chcąc wytrwać w przysiędze, zwalczyć musi pokusy.

Pierwsza doleci go z wyniosłej kopuły św. Piotra, król Mendog wezwie go na orężny czyn — napróżno. Drugą pokusę wyszepce mu Demostłum: „oto to wszystko oddam tobie, jeżeli padłszy uczynisz mi pokłon" — przypominają się dalekie słowa. Ale wódz zwycięża. Tłum rzuca sztandary, opuszcza wodza. I oto teraz przychodzi z pokus najstraszniejsza: „Rapsod w masce Homera". Nie usiłowano dotychczas zajrzeć w oblicze jego, a warto. Rapsod — to sztuka, pieśń, jak ją ongiś widział Mickiewicz-Wajdelota. Pieśń ta, jak

...słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I brzmiącą piersią na zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Gdy gmach runął, schroniła się w legiony, była „na narodów cmentarzu i płakała na narodu mogile" i stamtąd ozwała się głosem najwyższym na wiek XIX. cały, słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła". To był jej szczyt.

Przedziwny jest urok tej sceny w „Legionie". Mickiewicz rzucił poezję dla czynu, w wyniku oto ma sztandary podarte przez tłum, pomiotane pod stopy. A oto właśnie teraz schodzi nań wspomnienie dawnej pieśni; dziś bezsilny — ongiś władał pieśnią swą w narodzie! Jemuż to było iść do czynu? Przecżże pomiotał władztwo pieśni? Ona marnieje, lazzarone, nie żal-że dawności straconej? nie żal Pana Tadeusza, Dziadów III? Istota tragicznego bohaterstwa, jakie tkwi w zamilknięciu poety — Mickiewicza — mało jest odsłonięta, ani się domyślamy ile tam pokładów tragizmu narosło stąd w heroicznej jego duszy, ile było takich chwil, jak ta oto na Kapitolu z Rapsodem-lazzarone?

I ta pokusa przezwyciężona.

Ale Demos wygrał i Mickiewicz miał pełną świadomość tego faktu. Zdaje się jakbyśmy widzieli bolesny skurcz męczeńskiej jego twarzy, kiedy pisze z Paryża (do Ign. Domejki w 1849 r.) „Legia włoska, uciekając, rzucając karabiny i wracając do Francji na odgłos, że tam **żołd powiększono**, opuszczała roty polskie. Byłem tam i możesz sobie wystawić, com cierpiał".

Scena więc zwycięstwa Demosu stoi w zupełności na poziomie ówczesności. Zato anachronizmem, jakiemś nieporozumieniem na pozór wyda się scena następna: Mickiewicz-Brutus, zasztyletowawszy Cezara „o masce twarzy Napoleona I", przecina więzy skrępowanej u jego rydwanu Wolności. „Narody będziesz wieść!" Ale Wolność wsiada na rydwan Cezara, chwyta lejce i tratując przerażone w popłochu tłumy, pędzi w kierunku łuku Konstantyna. Czujemy w tem jakąś nie-owoczesność, w r. 48-ym dokonać się to nie mogło. A Wyspiański wstawia to właśnie w 48-y rok. To musi mieć swój sens.

Siedlecki tłómaczy to tak: Wyspiański pokazuje tu nie to, co Mickiewicz czynił, widział, czuł w 48, ale to co na tych czuciach, widzeniach **narosło** przez przeciąg ostatnich lat 50. Przypomina to żywo wywody Ortwina z racji Skałki [1]) o chwytaniu przez Wyspiańskiego poprzez historje, **legendy** heroicznej in statu nascendi. Scena 10 dokonywałaby się według tego w 2 połowie 19 w. „Wolność na rydwanie tyrańskim — oto nasilniejszy stopień rozgoryczenia, jakie optymizmowi politycznemu (Mickiewicza n. b.) miała zgotować Europa 19 w." — powiada Siedlecki. Ale to jeno na pozór tak jest.

Teorja Ortwina w tem ujęciu do „legionu" zastosować się nie da. Jest niepotrzebna. „Bankructwo ludu", „wolność na rydwanie tyraństwa", scena 9 i 10 „Legionu" to nie narośle końca 19 w., ale to były te dojrzenia wszechczującego serca Mickiewicza, ktore mu — między innemi — nadały indygenat narodowego wieszcza. Wspomnieliśmy że Mickiewicz żywy widział swój konflikt z Demosem. Scenę z „Wolnością" możnaby też według terminu Siedleckiego nazwać „natchnieniem ścisłości". Przemyślał i ją Mickiewicz głęboko. Można to wprost poprzeć dokumentami.

Dnia 16. czerwca 1823 r. wydrukował Mochnacki w „Pamiętniku emigracji polskiej" (Wyd. M. Podczaszyński) znamienny artykuł „Królowie i rewolucja" (P. M. Mochnackiego Pisma rozmaite. Oddział porewolucyjny". Poznań 1863 str. 260—269), którego myślą naczelną jest „przekonać niektórych rodaków moich, że rewolucja jest systematem, nie chwilowem, przygodnem zdarzeniem". Systemat ten składa się z trzech części „Pierwsza część uczy, jak chować umarłych, druga na tem zależy, aby nie dać długo umierać konającym, trzecia nakoniec, jest to sztuka wygrzebywania żywych". Mochnacki rozwijając i uzasadniając te punkty głosi takie zdania: „sztuka, czyli umiejętność rewolucyjna na tem zasadza się, żeby na czas niejaki zaszczepić w masy dziwne obyczaje hyeny". (str. 263) „Cóżto była konwencja (w rew. franc.)? Byłożto towarzystwo patrjotyczne Lelewela, byłażto Honoratka [1]), byłożto zgromadzenie tarańskie [2]), byłożto nakoniec pielgrzymstwo? Nie! to była rewolucja podniesiona do najwyższej mocy, do władzy absolutnej. Byłoto **potęga despotyczna wolności**, która despotycznymi środkami wojowała z despotyzmem królów, która go tem zwyciężyła. Gdyby się była wolność w owym czasie nie stała terroryzmem, nie mieliby Francuzi tych jej okruchów, jakimi się chlubią". Nareszcie kodyfikuje: „Trzeba, żeby **wolność została carem w swojem państwie**". (str. 268).

---

[1]) p. „Krytyka" 1907.

[1]) Honoratka kawiarnia w Warszawie, w której po upadku klubu grudniowego zbierali aię rewolucjoniści. (Sliw'ński, M. Mochn. str. 349).

[2]) Taran — nazwa lokalu przy rue Taranne Nr. 12, gdzie się zbierali emigranci. (Kucharzewski: M. Mochnacki, str. 3 7.)

„Rozumieliśmy (w 31. r.), że mając do czynienia z najprzewrotniejszym despotą, potrafimy go pokonać rozprzężeniem, złotą wolnością, *per libera vota,* tym to właśnie (co Pielgrzym z pism Lelewelowskich zachwala) obyczajem mrówek rozchodzących się samopas z mrowiska na wsze strony — ? Rewolucja będzie systematem, to systema będzie despotyczne, albo upadnie wraz ze sprawą ludów!“

Owóż zdania ostatnie zabarwione impetem polemicznym są głosem walki, jaka — słabo zarysowana w dokumentach — wiodła się jednak między Mochnackim a Mickiewiczem. Mickiewicz to bowiem pisał w Pielgrzymie polskim (31. maja 1833, str. 34) artykuł: „Niezgody Emigracji naszej“, gdzie dowodzi, że „fermenty emigracyjne sprawie publicznej nie grożą“. „Pielgrzymstwo nasze bardzo do mrowiska podobne; różnych dróg próbują, w różnych kierunkach snują się emigranci, ale zawsze początkiem i kresem ich wędrówek — Ojczyzna... Są oni jak Chaldejscy pasterze, ustawicznie patrzący w niebo, o których wiemy, że lepiej znają ruch gwiazd, niżeli członkowie biura długości..“

Wsłuchajmy się dobrze w głosy tej nieskończonej polemiki. Czyż nie czujemy, że przemawiają tu nie dwie opinje, nie dwaj ludzie nawet, że oto zapowiedział się wiekowy, o kosmicznych zarysach spór, podobny do tego, który Słowacki aż na niebiosach rozsądza (Sam. Zborowski). Spór o człowieka i jego godność. Mickiewicz, orędownik polskiej wolności z ducha, zwolennik systemu koordynacji przez żywiącą miłość społeczną, który umiał wznieść się ponad czasu zawieruchę i stamtąd wyznaczyć Polsce przyszłej jedyny tor — i Mochnacki, dusza żarliwa, utroskana boleśnie wypadkami 31. r., człowiek, który każde drgnienie swego życia oddał sprawie niepodległości, dla którego sprawdzianem czynu była odległość jego od obowiązku walki o wolność, którego *principium* było: *nulla habere principia,* walczyć nie dla zasady, lecz dla Polski, który jasno widział, że dziś jedynie mocna, sforna ręka władzy dyktatorskiej zdoła podnieść polskie, sobie-pańskie „mrowisko“, wcisnąć je w sprawny szereg wojskowy, gwałt gwałtem odeprzeć — oto dwa obozy, oto dwa w duszy ludzkiej ciągle żywe bieguny czynu. Walka między nimi oczywiście nie skończona. Zwycięstwo zresztą na dziś jasne, przechyli się oczywiście na stronę Mochnackiego. Ale to czasowe tylko zwycięstwo. Ludzkość musi dojść na poziom, gdzie rządzić się będzie według kanonu Mickiewiczowskiego, zasada czynu przez doskonałość duchową musi zwyciężyć, choćby sprawę przyszło „na straszny sąd Boga zapozywać“.

Ale kiedyż nadejdzie ten czas?...

Pytanie to drga słowami „scen dramatycznych“ „Legionu“, rozwiązane jest w ostatecznym żywiącej wiary pewności pełnym okrzyku Mickiewicza. Ono też jest wewnętrznem rusztowaniem sceny dziesiątej. Akcja zewnętrzna tej sceny ma za to oblicze wysoce osobliwe.

Widzieliśmy w scenach poprzednich, sprawa Mickiewicza z Demosem ostatecznie została zamkniętą. „Chór“ opuścił wodza, wyparł się go. A oto teraz znowu Mickiewicz występuje jako wódz wierny! W imię hasła: „Republika nas woła do czynu“ przebija sztyletem Cezara-Napoleona, bohatera, którego on w rzeczy czcić nie zaprzestał po koniec życia, w imię tegoż hasła rozcina więzy Wolności. Między nim a Demosem niema już dysonansu nawet! Jestżeż tedy niekonsekwencja? Nie!

Żeby sobie z tej sceny zdać sprawę, przyjąć trzeba, że dokonywuje się ona w s f e r z e m o ż l i w o ś c i, w wszech-rozsądzającej, nieustraszonej duszy Mickiewicza. Jej projekcja jedynie pokazuje się nam jako realna rzeczywistość. Oto Mickiewicz dojrzał i wskazał niejako Demosowi: patrz dotąd wiedzie twoja droga, taki weźmiesz owoc z mojej „klęski“. Taki to wieniec wieńczy dzieło twoje, wyznawco Wolności, „Wolności-Cara“.

Scena taka odegrać się mogła na theatrum duszy Mickiewicza kiedykolwiek, może wtedy, gdy w contr stawał teorjom Mochnackiego, może i we Włoszech. W gruncie rzecz to obojętna. Odegrała się. Mylne więc jest to, co p. Siedlecki wypowiada, że Wolność na rydwanie — to dorobek końca 19 w. Których że lat to dorobek? Do Mickiewicza mógł on dojść z zawieruchy końca 18 w. mógł przyjść z własych przewidujących rozmyślań. Dla nas to obojętne. Chodziło bowiem jedynie o pokazanie, że z problemem takim Mickiewicz się napotkał i że go rozwiązał sam.

Jakąż drogą szedł do Wyspiańskiego pomysł tej głębokiej sceny? Skąd wziął Wyspiański pewność oczywistości tego momentu w duszy owoczesnego Mickiewicza? Sądzę, że scena ta narodziła się w godzinach głębokiego, rozsądzającego zamyślenia nad Mochnackim. Owa przytoczona powyżej, przedziwnie lapidarna konkluzja: „potrzeba, żeby Wolność w państwie swem była c a r e m“ naprowadziła plastycznej wyobraźni Wyspiańskiego — choćby przez przeciwstawienie się jej — obraz tłumów na Kapitolu tratowanych przez tę Wolność-cara. Obraz ten związał Wyspiański przyczynowo — przez subtelne poczucie prawdy artystycznej — z antytezą maksymy, Mickiewiczem. Równocześnie więc objawiły się w tej scenie: i wyraźny osąd Mochnackiego i dobitne, mocne opowiedzenie się za czynem Mickiewicza, którego to ponoś miał Wyspiański „przezwyciężać“.

Adwokat Wita Stwosza.

(Ludwik Stasiak: Prawda o Piotrze Vischerze. — Kraków 1910).

Co za styl, co za temperament, co za namiętność! Snać pan Ludwik Stasiak całą duszą i całem sercem ukochał Wita Stwosza, tak samo jak całem sercem znienawidził tych, którzy mu po śmierci krzywdę wyrządzają. Żaden adwokat takby

bronić nie potrafił i takby nie oskarżał, jak to czyni autor dużej i pięknie napisanej a pięknie wydanaj książki. Wszystkie figury retoryczne, od wykrzyknika po pytanie, sarkazm, argumenty *ad hominem,* źródła historyczne, trafna obserwacja, nie mniej twierdzenia uderzające prostotą i logiką, wreszcie duży zasób mozolnych studjów, zadziwiająca lotność umysłu a przedewszystkiem temperament i jeszcze raz temperament, złożyły się na tę pracę z dziejów sztuki, będącą równocześnie aktem oskarżenia dla całej niemieckiej nauki.

Prawdziwa filipika, jakby jednym tchem wygłoszona.

Ale pozwólmy panu Stasiakowi niech sam powie, o co mu chodzi:

„Nieprawdą jest, jakoby Piotr Vischer odlewał w Norymberdze Kallimacha, zmarłego w r. 1496, bo Piotra Vischera w Norymberdze od r. 1495—1506 wcale nie ma, prawdą zaś jest, że wielkie to dzieło rzeźbił i odlewał Wit Stwosz. Nieprawdą jest, jakoby Piotr Vischer był autorem pionowej i poziomej, renesansowej tablicy Fryderyka Jagiellona, datowanej z r. 1510, bo do roku 1518 w Norymberdze wcale renesansu niema, prawdą zaś jest, że genjalny rysunek na tej pierwszej wykonał Wit Stwosz. Nieprawdą jest, jakoby Piotr Vischer portretował *treu nach der Natur* zmarłego w dniu 11 kwietnia 1475 Łukasza Górkę, bo Piotr Vischer urodzony w r. 1460 liczył w tym dniu lat czternaście. Nieprawdą jest, jakoby Piotr Vischer na tablicy wykonanej w r. 1523 „z indywidualizmem“ portretował Mikołaja Tomickiego. Tomicki nie mógł mu bezwarunkowo w r. 1523 do tego portretu pozować, a to dlatego, że już od lat czterdziestu sześciu w grobie leżał.

Z tych samych, podobnych, analogicznych, poprzednio przez nas przytoczonych powodów wynika, że nieprawdą jest, jakoby Piotr Vischer był autorem Mikołaja Salomona, Piotra Salomona i Emerana Salomona, Mikołaja Paniewskiego i Szamotulskiego, nieprawdą jest, jakoby był autorem Piotra Kmity i Hermana Henneberga, nieprawdą jest, jakoby był autorem rysunku z r. 1488 i grobu św. Sebalda. Nieprawdą jest jakoby był autorem Norymberskiej Madonny i jednego z najwyższych szczytów ludzkiego ducha — posągu króla Teodoryka w Insbruku, autorem bowiem tych dzieł jest urodzony w Krakowie, mieszczanin polski Wit Stwosz.“

Któż twierdził wszystko to, co tak kategorycznie i stanowczo pan Ludwik Stasiak nazywa nieprawdą. Oto szowinistycznym szałem objęta nauka niemiecka. Wiemy aż nadto dobrze, co potrafią pruscy uczeni w zakresie polityki i historji o ile chodzi o Polaków, obecnie p. Stasiak wywykazuje, że to samo umieją oni i na polu historji sztuki. Chcą wykazać, że tak samo jak cesarz idzie na przedzie Prusaków, a Prusy na przedzie Niemców, tak Niemcy znowu idą na czele całej ludzkości. I pozostanie to zasługą autora niniejszej książki, że zwrócił uwagę, jako ta sama zachłanność niemiecka, która nas dzisiaj obdziera z ziemi i języka ojczystego, z równą brutalnością idzie na kradzież płodów polskiego ducha i kultury, nawet w zamierzchłych czasach średniowiecza.

Nie mamy zamiaru przysięgać na wszystkie argumenty p. Stasiaka, ale te które w samej jego książce sprawdzić się dadzą, lub są nam skąd inąd znane, wykazują, że obok temperamentu, dużo jest słuszności po stronie naszego autora, jeżeli nie całkowita prawda.

Jakiż jest cel apoteozy Piotra Vischera we wszystkich najnowszych podręcznikach historji sztuki i monografiach ze szkodą prawdy historycznej i ze szkodą dla genjusza Wita Stwosza? Stan sprawy, tak jak go przedstawia autor, jest następujący: Tym niemieckim pisarzom, którzy najgłośniej zapewniają, że Stwosz był Niemcem, doskonale jest ze źródeł norymberskich wiadomem, że on był Polakiem. Powtóre wszystkim niemieckim historykom sztuki doskonale jest wiadomem, że przed przybyciem do Norymbergi Stwosza, ściśle zaś przed rokiem 1474 żadnej, bezwarunkowo żadnej sztuki plastycznej w Norymberdze niema.

Z tych dwóch faktów i z tych dwu premis wypływa dla szowinistów niemieckich wniosek śmiertelny i straszny: Oto Wit Stwosz, Polak, stworzył niemiecką i norymberską sztukę! Niemcy wilhelmowskiej marki, którzy dumę narodową doprowadzili do rozkoszy, ludzie, którzy z rozkoszy patrjotyzmu mdlejąc — wołają w berlińskim parlamencie, że Niemcy dali Słowiańszczyźnie i Polsce kulturę, będą musieli zaprzestać rozkosznych omdleń narodowych. Trzeba się upokorzyć i przyznać, że Słowianin i Polak jest twórcą cywilizacji artystycznej Niemiec, że Stwosz jako *lux ex Oriente* przyszedł z pochodnią światła na zachód i dał Niemcom dobrodziejstwo sztuki i łaskę sztuki.

Ażeby do tego niedopuścić udowadniają naprzód, że Stwosz był Niemcem, a równocześnie znaczną część jego dzieł przypisują Piotrowi Vischerowi, który — według słów p. Stasiaka był tylko kotlarzem i odlewnikiem.

Czy sprawa tak się ma w rzeczywistości i we wszystkich szczegółach, jak to z wielkim talentem przedstawił autor, czy wszystkie jej ostrza tak są kolczaste, jak to czytamy w niniejszej książce — rozstrzygnie zapewne fachowa krytyka, która pod żadnym warunkiem nie będzie mogła przejść do porządku dziennego nad materjałem nagromadzonym przez p. Stasiaka, a dotąd przynajmniej mało znanym i w odnośnych publikacjach Akademii Umiejętności mało wyzyskanym.

Na razie jest p. Stasiak zwiastunem rewizji wielu pojęć i wielu twierdzeń z dziedziny historji sztuki polskiej. Jako herold dał dziełu swemu potężny głos publicystycznej polemiki, jako partyzant i przednia straż ostrzeliwa żwawo i wszechstronnie pozycje nieprzyjacielskie, czas jednak, ażeby odezwały się grubsze działa z twierdzy Akademii, ażeby sprawa omówioną została spo-

kojnie, by snać nie powiedziano, że zachłanności pruskiej przeciwstawiamy własną zachłanność.

Jeżeli przeto książka p. Stasiaka, pomijając już nawet jej cenny materjał źródłowy i obserwacyjny, jest pięknym wzorem polemiki publicystycznej, która oddając co się komu słusznie należy, nie cofnie się przed żadnym argumentem dla upokorzenia przeciwnika — to trzeba przyznać, że ona sama nie wystarczy dla ostatecznego załatwienia sprawy Piotra Vischera.

Fr. Jaw.

„Nowożytne starożytności“*).

Nie nowina to, iż coraz częściej trafiają się nawet zawodowym zbieraczom tego rodzaju niespodzianki, iż w najlepszem przekonaniu o autentyczności zabytku, za drogie pieniądze nabywają przedmioty, wykonane zręcznie przez ludzi zawodowo uprawiających osobliwą gałąź przemysłu artystycznego — fałszowanie i podrabianie starożytnych dzieł sztuki.

Nie ma też zabytków, którychby obecnie nie podrabiano masowo i niezasypywano nimi tak zbiorów publicznych jak i prywatnych. Od drobnej monety rzymskiej czy greckiej, do wspaniałych rzeźb w marmurze, bronzie lub drzewie wszystko to stało się przedmiotem mistrzowskiego podrabiania i sprzedaży za pokaźne zwyczajnie sumy.

Bardzo wysoko cenione, częstokroć prawdziwe dzieła sztuki, monety greckie i rzymskie podrabiają fałszerze tem chętniej, iż połączone to jest z mniejszym nakładem pracy i trudu, niż n. p. podrobienie starej rzeźby lub obrazu. Z niezwykłej zręczności w podrabianiu monet rzymskich słynęli w czasach Odrodzenia Jan Cavino i Aleks. Bassiano, w początkach zaś XIX. w. niejaki Beckier w Spirze, który z bajeczną wiernością grawirował 331 stempli fałszywych monet greckich, rzymskich i średniowiecznych. Gotowe okazy składał do skrzynki wypełnionej piaskiem i wiórami żelaza, i zawieszał ją potem u często używanego powozu, ażeby przez tarcie mogły się wygładzić i nabrać delikatnego połysku.

Sposób otrzymywania nadzwyczaj rzadkich, lub unikatów znanych monet polega na tem, iż wybiera się dwa egzemplarze tego samego lub rozmaitych imperatorów rzymskich i przecina się je przez grubość monety. Następnie lutuje się avers pierwszej z reversem drugiej, spaja się brzegi, wypełnia szczeliny, wygładza otok i w ten sposób otrzymanej sztuce nadaje się pozór jednej całości. Również sposobem galwanicznym podrabiają wszystkie monety: poznać je po ziarnistej powierzchni, o ile ta nie pokryta została sztuczną patyną.

W pomysłach swych w wyrabianiu i sprzedawaniu falsyfikatów są niektórzy handlarze wprost genjalni.

Bardzo sprytne oszustwo udało się odkryć niedługo po ustaleniu nieautentyczności tjary Seitafernesa. I w tym wypadku ofiarą fałszerzy padło muzeum Luwru. W Wenecji pokazała się około 1895 r. para bronzowych figurek, przypisywanych sławnemu mistrzowi figur Adama i Ewy u wejścia do pałacu dożów, Ant. Ricci'emu; jedną z nich, przedstawiającą Adama, zakupił Luwr za 40.000 franków. Obydwie były świetnie podrobione; nawet nieprzeźroczysta, czarna powłoka lakowa, stale pokrywająca bronzy tych czasów, a także patyna, która się na miejscach wystających po przetarciu laku wytworzyła, zostały przez fałszerza doskonale naśladowane. Wypadek jednak z tjarą Saitafernesa nauczył uczonych w Paryżu większej ostrożności; zaraz po załatwieniu sprawy z „zabytkiem“ scytyjskim odkryto, iż głowa tego „Adama“ jest kopią pewnej znanej figury, a za wzór reszty ciała służyła statua z innego muzeum.

Powszechną uwagę zwróciły w ostatnich latach niefortunne zakupna rozmaitych wielkich muzeów. Zwłaszcza w nabywaniu obrazów starych mistrzów przytrafiło się najwięcej niespodzianek tego rodzaju. Zakupiony n. p. za 12.000 M. przez muzeum Kolonji obraz, podawany za dzieło A. Kuypa, został rozpoznany przez dyr. nowego Muzeum państwowego w Amsterdamie, K. Brediusa nie tylko jako fałszywy, ale wprost jako bezwartościowy.

Były dyr. londyńskiej Galerji narodowej kupił oprócz fałszywego Perugina. miernej kopji, także za 150.000 M. starą kopię z Dürera i wskutek tych właśnie nieudałych zakupów stracił swoją posadę.

W zbiorze, ofiarowanym w 1893 r. miastu Bath w Angiji przez Sir Williama Holburne wykryto w 1905 r. przy dokładnych badaniach na na 250 obrazów nie mniej jak 200 fałszywie przypisywanych największym mistrzom. Ponad 150 usunięto ze zbiorów.

Bardzo wysokie ceny, płacone w dzisiejszych czasach za rzadsze sztychy, mniej lub więcej ładnie zachowane, zachęciły rozmaite czarne duchy do działania i w tym kierunku, praktykowanym zresztą już w XV w. Sztychy Schongauera kopiowano z powodzeniem już w tych czasach, a kiedy nie długo po śmierci Dürera, Rudolf II zaczął zbierać jego rysunki, znalazł w zbiorze Imhoffa naśladownictwa, wykonane w Norymberdze przez malarzy Ruprechta, G. Gärtnera, Hoffmanna i in. Wierix i rozmaici niderlandzcy sztycharze puszczali w świat obrazy z sygnaturami innych mistrzów.

Wiele sztychów i drzeworytów przywraca się do lepszego, bardziej poszukiwanego stanu przy pomocy wycierania, dorysowywania, podlepiania i t. p. sztuczek. Stare płyty można łatwo odbijać na nowo na starym papierze, a kiedy jeszcze przy

---

*) *Paul Endel.* Fälscherkünste Leipzig 1909. Wyd. Fr. Wilh. Grunow *Stephan Beissel.* Gefälschte Kunstwerke. Fryburg Br. 1909. Wyd. Herdera.

pomocy bieli hiszpańskiej wypełni się na płycie podpis i niektóre miejsca, otrzymuje się wówczas „próbne odbitki“ t. z. avant la lettre, na które nawet najwytrawniejsi znawcy dają się złapać.

Setki podobnych podstępów, jeden chytrzejszy od drugiego można by wyliczyć z dziejów rozmaitych większych zbiorów publicznych i prywatnych, nierzadko mimo najwytrawniejszych nawet kierowników, oszukiwanych przez pomysłowych oszustów. Częstokroć zbiory stają wprost bezradne wobec niektórych oszukańczych manipulacji antykwarzy, którzy zmuszają dyrektorów większych muzeów do zawierania stowarzyszeń samoobronnych. Coraz bardziej zaś uciera się maksyma, iż zabytek każdy tak długo uważać należy za nieautentyczny dopóki autentyczność jego dowodnie nie zostanie wykazana. Prywatni zbieracze, mniej obyci w zakupowaniu starożytności coraz częściej zwracają się o pomoc do kierowników muzeów publicznych i w ten sposób chronią się choć po części przed wyzyskiem nieuczciwych ludzi. Od niedawna odbywają się tajne zjazdy dyrektorów muzealnych, którzy zgodnie pracują nad demaskowaniem nieznanych oszustów we wszystkich krajach, mając to za sobą, iż banda fałszerzy nie zdoła połączyć się razem, ponieważ zawsze znajdzie się ktoś niezadowolony z zysku drugiego. W każdym razie najlepszą receptą przeciw okpiwaniu przez niesumiennych antykwarzy pozostanie zawsze ostrożność w ocenianiu i nabywaniu zabytków, z zasady kierowana kwestjonowaniem autentyczności i starożytności ofiarowanych przedmiotów.

B. J.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Józef Okołowicz. Na morzu Kraków 1910. Cztery nowele z życia Polaków w Paranie.

Mamy już dziś Polskę nie tylko w Europie, w starej naszej, bolesnej ziemi. W Stanach Ameryki północnej, w egzotycznej Paranie rozwija się silnie, intensywnie życie polskiego emigranta.

Po zawodach życiowych w kraju, po długiej, męki pełnej podróży, przyjeżdża chłop polski z Galicji czy Królestwa i tam, na krańcu świata do pracy się bierze, ziemię dziewiczą w rolę przekształca, całą siłę rąk swoich, trudu swojego na ten nowy teren walki przynosi i czyni jak może i co może.

Jest smętna, a jednakże i siły pełna nuta poetyczna w tej wędrówce za morze, w tem zmaganiu się ludu polskiego z losem ciężkim, z dolą niedolą, z tą ziemią obcą, z nowymi życia warunkami i wreszcie z tą duszą własną żywą jeszcze od wspomnień i pamiątek, które wytrzebić trudno i zagasić się nie chce.

Nie dziw, że temat emigracji ciekawy a ważny w obecnem życiu naszem — Konopnicką do napisania pana Balcera nakłonił.

Pan Okołowicz wydał parę nowel z życia emigrantów w Paranie. Karmiła go mniej wyobraźnia poetycka —niż świadectwo oczu własnych, sam bowiem zna bardzo blisko losy naszych Parańczyków i kraj przez nich zamieszkały.

Książeczka ma wartość dokumentu, autor w beletrystycznej formie zaznajamia czytelnika z codziennem życiem tej nowej polskiej ojczyzny, w której zamiast żyta i owsa rodzi się fizon i kukurudza, tytoń, herwa, — gdzie na Boże Narodzenie ani śniegu ni mrozu, dokoła zielono jak w lipcu, lato....

I dowiadujemy się, że tam, w podzwrotnikowym kraju — serce emigranta gra tęsknotą za starą, rzuconą ojczyzną, że drgają w niem nuty rzewne, te nuty, które nam radość przynoszą. Bo oto w Rio — Claro stary Kępa, jak darem największym — cieszy się elementarzem, z którego gromadki dzieci uczy po polsku, — w kolonji swojej, na kraju lasów nieprzebytych rozłożony Grzesiak w imię tej elementarnej nauki polskiej — na bohaterstwo się zdobywa. Na wieść o ruchu rewolucyjnym w kraju — zaoszczędzone krwawym trudem pieniądze — oddaje na szkołę, by i tu „ojczyznę budować“...

Jak żyją i jak czują chłopi polscy parańscy jest rzeczą ważną i ciekawą, p. Okołowicz wie o tem i w zajmujący sposób z czytelnikiem się dzieli. Żałować należy, że autor zaledwie parę szkiców ze stosunków tamtejszych wydał. Ostatnia nowela „na morzu“, mówi o starym włochu Touissim, któremu prawdy życiowe, jedna za drugą wydzierały wiarę, zasiewały w serce zwątpienie. Wśród zgliszcz i ruin wewnętrznych — raz jeszcze szukać probuje, puszcza się w podróż daleką, za morze, w świat nowy... Po drodze przychodzi śmierć. Zwłoki wyschłe, nędzne, niepewnościami za życia szarpane — marynarze w płachty płócienne zawinęli, ciężarki przytroczyli i rzucili je w odment, w tajemnicze dno morza, na wieczne zapomnienie.

Marcelina Kulikowska.

NOTATKI.

Wykopalisko monet. W Trościańcu małym (pow. Złoczów) przy końcu maja b. r. przy korczowaniu lasu natrafił włościanin tamtejszy Jan Balbuza na gliniane naczynie, które prawdopodobnie przez uderzenie motyką rozbił na drobne części. Spostrzegłszy rozsypane monety pozbierał je i zaniósł do domu; resztę zaś nieco później wygrzebały dzieci i oddały strażnikowi skarbowemu ze Złoczowa, który w „urzędowej“ formie wcielił je do swej kieszeni. Z pozostałych, niewszystkich jednak czerepów naczynia, polewanego zieloną glazurą widać wklęsły ornament falisty biegnący pośrodku brzuśca, tudzież równoległe linijki, biegnące przy samem denku. Naczynie to o małem uszku z przebitym, niewielkim otworem było średniej wysokości, podobne do niskiego dzbanka. Wykopalisko składa się z przeszło 400 sztuk monet polskich i obcych łącznej wagi około 1 kg. Monety polskie pochodzą z czasów panowania Zygmunta III. (orty, szóstaki, trojaki, półtoraki, i grosze 362 sztuk) i Jana Kazimierza (1 szt.). Z monet obcych były szwedzkie za Gustawa Adolfa (4 sztuki), tegoż elbląskie (1 szt.), pruskie za Jerzego Wilhelma (4 szt.) cesarstwa rzymsko-niemieckiego za Macieja (1 szt.) ks. brunszwickiego za Krystyana (1 szt.) ks. Jülich — Cleve — Berg (1 szt.) i monety połączonych Niderlandów (3 szt.) Najstarszą monetą w tym wykopalisku jest grosz ks. Jülich — Cleve — Berg za panowania Jana Wilhelma (1591 do 1609) najmłodszą ort bydg. Jana Kazimierza z r. 1650. Monety zostały najprawdopobniej zakopane za czasów Jana Kazimierza przed około 260 laty. Monety obce na ziemiach naszych znalezione uzasadniają znany zresztą fakt kursu obcych monet w Polsce w tych czasach. Zachowanie wszystkich monet ogółem piękne.

M. R.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.